

Artyści w rynkowym raju

11 lipca 2016

Same (prawie) słuszności prawi o sytuacji ludzi kultury i artystów Krzysztof Mieszkowski – poseł Nowoczesnej – w wywiadzie do “Przeglądu” (nr. 24 b.r.). Nic, tylko cytować.

„Ludzie kultury – powiada – są permanentnie marginalizowani. Niektórzy są tak biedni, że ledwo wiążą koniec z końcem. A właściwie nie wiążą. Myślę m.in. o artystach sztuk wizualnych. Jeśli nie są zatrudnieni na etacie – a etat w tej branży to rzadkość – nie mają żadnych ubezpieczeń zdrowotnych ani bezpieczeństwa socjalnego. Polscy artyści są wyjęci spod prawa. (...) Polski rynek sztuki nie jest jeszcze wystarczająco silny, mimo, że Polska jest uważana za kraj, w którym roi się od wybitnych twórców. To swoisty fenomen, że dla poprzednich rządów ważniejsza była religia w szkole niż edukacja kulturalna, a obecny rząd to wzmacnia. Wciąż nie rozumie się roli kultury i sztuki w rozwoju demokracji. Takie nastawienie pozwoliło wykreować świetnie zorganizowany elektorat prawicowy”.

Wynika stąd, że gdy władza tę rolę zrozumie, wówczas nad położeniem artystów się pochyli. Sypnie też groszem. Stworzy odpowiednie etaty i zabezpieczenia. Stymulować będzie rynek sztuki. Edukacji kulturalnej zaś zapewni w szkołach miejsce równe religii. Zwiędnie wtedy i się skurczy elektorat prawicowy. Demokracja natomiast rozkwitnie.

Tak oto mówi poseł partii, reprezentującej interesy kapitału finansowego. Choć – skądinąd – znakomita postać życia kulturalnego Wrocławia. Bo on chce o to wszystko walczyć.

Tyle tylko, że nie widzi on, iż nie ma bezpośredniego związku między kulturą i sztuką a demokracją. Nie widzi też, że w panującym u nas systemie – rozumienie sytuacji naszych artystów przez rządzących niewiele może zmienić. To bowiem ich

przerasta.

Nie dostrzega również, że edukacja kulturalna nie ma szans konkurować u nas z religią, bo ta stanowi sedno panujących aparatów ideologicznych państwa. I trzeba politycznego trzęsienia ziemi, by to zmienić, a Nowoczesna zaakceptuje wszystko, co tylko bankom i spekulantom będzie maksymalizowało zyski. Nawet więc Mieszkowskiego postara się w razie czego przekonać, by służył biskupów i odbywał posty. Choć na razie wolno mu pielęgnować wiarę w skuteczność swych politycznych działań i się prawomyślnie taplać w liberalnych złudzeniach.

Gdy zaś idzie o sytuację artystów i sztuki, sprawa jest głębsza. Tkwi ona w panujących stosunkach naszego kapitalizmu.

ZŁEGO POCZĄTKI

Ich początki ujawniły się z całą brutalnością bardzo szybko po ustrojowej transformacji w 1989 r. Przedtem było inaczej. Przez kilkadziesiąt lat PRL nikomu taka sytuacja nie przychodziła nawet do głowy, bo działalność artystyczna i sztuka istniała w obrębie mecenatu socjalistycznego państwa. Brzmi to paradoksalnie, ale naprawdę: mimo cenzury i politycznych zawirowań, stworzyło ono twórcom może nie wolność, lecz na pewno warunki do powstawania dzieł sztuki wolnej.

System artystycznego szkolnictwa, organizowania plenerów, stypendiów, wystaw i zakupów wytworów artystycznych, wprowadzenie całkiem pozwalało zapomnieć o troskach materialnych. Na pewno wszystkim twórcom nie zapewniał dostatku. Działał jednak skutecznie na tyle, że tworzący mogli mieć poczucie bezinteresownego oddania się służbie wartościom artystycznym i estetycznym. Zwłaszcza po 1956 roku.

Mogła im się marzyć wprowadzie sława i zarobek na Zachodzie. Mogli też to i owo prywatnie sprzedawać, lecz nie przekreślało to tego poczucia. Stąd pochodziło przeświadczenie o społecznej randze artysty i jego szczególnym powołaniu. Podtrzymywali je

zresztą nie tylko politycy w swych deklaracjach, ale też i krytycy. Sprawiało to, że dominujący był ten punkt widzenia na status artysty, jaki dziś charakteryzuje już chyba tylko świadomość staromodnych pocziwców.

Był on zresztą oczywisty nie tylko w środowiskach plastyków. Także wśród twórców innych sztuk. Dla przykładu – wśród aktorów. Warto więc tu przytoczyć fragment krótkiego, ironicznego felietonu, jaki poświęcił im już na początku nowego tysiąclecia (nie żyjący już) chłodny obserwator życia artystycznego i wybitny krytyk Andrzej K. Waśkiewicz.

Pokazuje on bowiem ten punkt widzenia najpierw jako niepodważalną świętość. A potem, jak ta świętość rozmienia się u nas na drobne, aby świat kultury ukazał się odczarowany, aktorzy zaś prozaiczni w obrębie wykonywanego zawodu. I całkiem bezinteresowności pozbawieni. Podobnie, jak przedstawieni tu plastycy.

Czytamy więc w tym felietonie, że: „U progu transformacji dyskutowano o tym długo i namiętnie, były nawet specjalne uchwały organizacji związkowej. Czy mianowicie zacząć jest rzeczą, by cieszący się jaką taką renomą aktor występował w reklamach? Argumenty bywały różne. Gadano o godności zawodu, o szacunku dla widza. No bo jakże to: Hamlet zachwalający proszek do prania. Król Lir, reklamujący bankowe kredyty? W tym samym czasie aktorzy renomowanego teatru stróżowali na parkingu. Bo jakoś trzeba było dorobić do gaży.

Minęło parę lat, i to, co było zdrożne, stało się zacne. Skoro robi w reklamie, znaczy, że jest postacią. A skoro jest postacią, to ma cenę rynkową, a skoro ma cenę rynkową, to godzien jest szacunku.

Wtedy, gdy aktorzy stróżowali na parkingu, był to – prócz zwykłego zajęcia – także rodzaj manifestacji. Patrzcie czego muszę się chwytać, by uprawiać kulturę wysoką! Teraz, tak postępując, potwierdzałyby tylko swe nieudaczność. Z zawodu

wyżyć nie może, więc bierze chałturę, zwyczajnie, nie on jeden. (...) Śmieszne, ale inaczej tego powiedzieć się nie da. Jest tak bowiem, że trzeba było kilkunastu lat transformacji, by inteligenci, warstwa poniekąd słuźebna, uzyskali prawa, które niegdyś, z definicji, przysługiwały klasie pracującej: prawo do jasnego, pozbawionego etyczno-estetycznych zdobnictw, artykułowania swych interesów”.

Wielu jest takich, dla których słowa te wciąż brzmią szokująco i obrazoburczo. Są wśród nich i aktorzy i plastycy, jak i pozostali artyści, którzy mechanizmom transformacji nie chcieli się poddać i dali się zmarginalizować. Ich jednak ten esej nie dotyczy. Wolą etyczno-estetyczne zdobniki od szarego statusu klas pracujących. Ich woła. Skończył się ustrój, który te zdobniki uprawomocniał. Artysta zaś tworzy i znajduje sposoby, by jego sztuka spoczęła w futerale komercji, i by on sam był odpowiednią figurą dla tego świata.

Nie od niego tylko jednak to zależy.

OBECNOŚĆ ARTYSTYCZNA

Zdarzyło się, że jeden z moich młodych przyjaciół miał wystawę obrazów w muzeum niegdyś wojewódzkiego miasta. Ale na jej wernisaż – mimo rozesłanych zaproszeń i afiszów – przybyło zaledwie parę osób. Był tym bardzo zmartwiony. Pocieszałem więc go tak:

„Głowa do góry! Przecież zrobiono ci katalog. Przeprowadzono wywiady do lokalnej telewizji, radia i gazety. Była też notatka i reprodukcje kilku twoich obrazów na portalu miasta w Internecie. Czego chcesz więcej? Po co ci potrzebni wciąż ci sami, i wszędzie tacy sami, bywalcy wernisaży? I tak już zaistniałeś, bo katalog daje ci znak firmowy. A te wywiady i nawet internetowa notka z obrazami bardziej może i szerzej przyciągnęły uwagę, niż zainteresowanie miejscowych, dyżurnych cmokierów.

Choć z tego wszystkiego i tak niewiele wynika, nawet gdyby to,

co pokazałeś, było lepsze od obrazów wszystkich przed tobą wystawiających tu twórców. Bo nie w tym miejscu i nie w przestrzeni lokalnych mediów rozstrzygają się sprawy obecności twych wytworów artystycznych. To zaledwie punkt wyjścia, od którego zaczyna się długa i żmudna droga. Ale teraz ciesz się tym, co zostało ci dane. Rzecz w tym, czy będziesz mógł i zechcesz nią pójść, czy też się zagubisz w pogoni za mirażami piękna wolnego i bezinteresownym upodobaniem estetycznym nielicznych smakoszy sztuki i znawców”.

Co jeszcze mógłbym mu powiedzieć? Tyle w zasadzie powinno było mu wystarczyć, by osuszyć łzy jego zranionej ambicjonalnie duszy. I by wiedział, że więcej nie może oczekiwać. Musi bowiem, jak i inni młodzi, przyzwyczajać się do myśli, że sama artystyczna prezentacja w muzeum (lub galerii) w takim (lub podobnym) mieście sama przez się nie znaczy wiele. Nie jest przecież szczególnie prestiżowa. Nabiera zaś znaczenia, gdy jest faktem medialnym, bo dzisiaj istnieć to być postrzeganym przez media. Nawet zaledwie lokalne. A kiedy to istnienie zauważą liczące się galerie, może będzie głośno o nim. Przynajmniej kilka tygodni po wernisażu. I więcej nie może oczekiwać.

W tym świetle maleje ranga kulturowego obrządku, jakim jest sama wystawa i jej wernisaż. Niezależnie od jakości stanowi ona tylko materialną podstawą istnienia realnego, czyli medialnego, w którym odbywa się (także towarowa) cyrkulacja wytworów sztuki jako mniejszych lub większych atrakcji. Jest też pretekstem wydania katalogu, jako legitymacji do artystyczno-towarowej obecności w jakichś galeriach komercyjnych. I im więcej takich znaków zgromadzi, tym lepiej dla jego rynkowego funkcjonowania.

Z drugiej jednak strony nie wolno nie doceniać roli instytucji wystawienniczych. Nawet tych lokalnych. Wszystkie one łącznie, mimo swej malejącej rangi w świecie kapitalistycznych reguł, komercji i dominacji mediów, stanowią istotny składnik systemu trawienno-przemysłu kulturowego. Są bowiem dla niego źródłem

wizualnych ofert, które mogą być funkcjonalne przy projektowaniu i wykonaniu konkretnych jego produktów. Nawet jeśli nie nazbyt wykraczają poza zerowość estetyczną.

Oczywiście to, co dobre czy bardzo dobre dla niego nie musi być takie z punktu widzenia kryteriów, jakimi kierują się muzea, galerie itp. Niemniej udział w powstawaniu tych produktów zapewnia artystom określone formy kulturalnej obecności i odpowiednie dochody. Co oni (i nie tylko oni) – myląc często pozycję w tym przemyśle z rangą w praktykach artystycznych – mogą brać za oznakę kulturalnego znaczenia. Tak jak aktorzy, którzy “mając branie” jako reklamowe papugi, uważają się za gwiazdy sztuki teatralnej.

Jak widać – strasznie pokomplikowały się nam sprawy z pięknem i społecznym funkcjonowaniem artystów. Choć może tylko I. Kant, siedząc gdzieś w wieczności na niebieskim obłoku, patrzy jednak na to z niepokojem.

Wszak apologetci tego łez padołu głoszą, że żyjemy w ustroju będącym królestwem wolności na ziemi. Na „tej ziemi”, jak mawiał papież, którego oryginał wizualny stanowi podstawę zerowych estetycznie, choć świętych pomników, stworzonych przez przemysł kulturalny w Polsce.

Powinno więc być to idealne miejsce dla artystycznych geniuszy w rozumieniu “Krytyki władzy sądenia” Kanta, czyli dla tych artystów, którzy tworzą bez żadnych ograniczeń i reguł, lecz analiza ich dzieł ukazuje jednak określone reguły: ich własne.

Tymczasem jednak łatwiej napotkać te pomniki, przedrzeźniające się wzajem swą miernością, niż choć jednego takiego geniusza. A jeśli ten czy ów twórca próbuje nim być, uchodzi za dziwadło lub kończy jako skandalista. Tak lub inaczej spada na margines oficjalnego życia kulturalnego. Bez prestiżu i możliwości zarobku.

Coś więc z tą wolnością jest nie tak. Mimo bowiem braku cenzury praktyki artystyczne tkwią artyści w swoistych,

zaciśniętych wędzidłach. Ta ziemia wszakże łatwo to znosi, jakby była stworzona do ich wytwarzania. Papież zaś z pomników wciąż jej błogosławi. I być może będzie tak, aż do dnia Sądu Ostatecznego.

Bo łatwiej u nas wolność głosić, niż stworzyć dla niej rzeczywiste warunki obecności.

Autorstwo: Jan Kurowicki

Źródło: Strajk.eu